

## Leonid Andrejew

### ZŁODZIEJ

#### I

Fiodor Jurasow, złodziej trzykrotnie sądzony za kradzież, wybrał się w odwiedziny do swojej dawnej kochanki, prostytutki, mieszkającej o jakieś siedemdziesiąt wiorst od Moskwy. Na dworcu siedział w bufecie pierwszej klasy, jadł pierożki, pił piwo, a obsługiwał mu kelner we fraku; potem, kiedy wszyscy ruszyli do wagonów, wmieszał się w tłum i jakoś niechętny, ulegając ogólnemu podnieceniu, wyciągnął portmonetkę jakiemuś starszemu jegomościowi. Pieniądzy miał dość, nawet sporo, i taka przypadkowa, nieprzemyślana kradzież mogła mu tylko zaszkodzić. Tak się też stało. Jegomość, zdaje się, zauważył coś podejrzanego, gdyż bacznie i dziwnie spojrzął na Jurasowa i chociaż się nie zatrzymał, kilka razy obejrzał się na niego. Po raz drugi Jurasow zobaczył tegoż jegomością już przez okno wagonu: z kapeluszem w rękę, bardzo zdenerwowany i speszony, szedł szybko po peronie, zaglądał w twarze, oglądał się i kogoś szukał w oknach wagonów. Na szczęście rozległ się trzeci dzwonek i pociąg ruszył. Jurasow ostrożnie wyrzwał: jegomość wciąż jeszcze z kapeluszem w rękę stał na końcu peronu i uważnie

przyglądał się mijającym go wagonom, jakby je liczył. Jego niezgrabnie rozstawione, grube nogi zdradzały wciąż to samo zmieszanie i zdziwienie. Stał, lecz zapewne wydawało mu się, że idzie: tak śmiesznie i niezwykle się rozkraczył.

Jurasow wyprostował się, wyprężył kolana, przez co stał się jeszcze wyższy, prostszy i zuchowaty, i z łagodną beztróską obydwoma rękami podkręcił wąsy. Wąsy miał piękne, duże, jasne, jak dwa złote sierpy sterczące po bokach twarzy. Póki palce delektowały się przyjemnym dotykiem miękkich i puszystych włosów, szare oczy z beznamiętną, naiwną bezpośredniością patrzyły w dół na przeplatające się szyny sąsiednich torów. Metalowym połyskiem i bezszelestnymi wygięciami przypominały pośpiesznie uciekające żmije.

Przeliczywszy w ubikacji skradzione pieniądze — było tego dwadzieścia cztery ruble z drobnymi — Jurasow pogardliwie obracał w rękach portmonetkę: stara, zatłuszczona, źle się zamykała, a jednocześnie pachniała perfumami, jakby bardzo długo znajdowała się w rękach kobiety. Zapach ten, trochę nieczysty, lecz podniecający, przyjemnie przypomniawszy Jurasowowi tę, do której jechał. Uśmiechnięty, wesoły, beztróski, chętny do przyjaznej pogawędki, poszedł do swego wagonu. Teraz usiłował być, jak wszyscy: uprzejmy, przyzwoity, skromny. Cieszył go płaszcz z prawdziwego angielskiego sukna i żółte buty; miał do nich zaufanie — do płaszcza i do butów. I był przekonany, że wszyscy biorą go za młodego Niemca, buchaltera z jakiegoś poważnego domu handlowego. Śledził w pismach wiadomości giełdowe, znał kurs wszystkich papierów wartościowych, potrafił rozmawiać o sprawach handlowych i czasami zdawało mu się, że naprawdę nie jest chłopem Fiodorem Jurasowem, złodziejem trzykrotnie sądzonym i karanym więzieniem za kradzież, lecz młodym, porządnym Niemcem, Heinrichem Walterem. Heinrichem nazywała go ta, do której jechał, a koledzy przezwali „Niemcem”.

— Czy to miejsce jest wolne? — spytał uprzejmie, chociaż od razu można się było zorientować, że miejsce jest wolne, gdyż na dwóch ławkach siedziały tylko dwie osoby: emerytowany oficer-staruszek i dama z pakunkami, jadąca zapewne na lotnisko. Nikt mu nie

odpowiedział. Z wyszukaną wytwornością opadł na miękkie sprężyny siedzenia, ostrożnie wyciągnął długie nogi w żółtych butach i zdjął kapelusz. Potem życzliwie obejrzał staruszka-oficera i damę i tak ułożył na kolanie szeroką, białą rękę, by od razu mogli zauważyć na małym palcu pierścień z olbrzymim brylantem. Brylant był fałszywy i błyszczał silnie i bezczelnie; rzeczywiście go zauważyli, ale nic nie powiedzieli, nie uśmiechnęli się i nie stali się życzliwsi. Stary przewrócił stronę gazety, dama, młodziutka i ładna, zapatrzyła się w okno. Z niewyraźnym przecuciem, że jest już zdemaskowany i że znowu nie wiecie dlaczego nie wzięto go za młodego Niemca, Jurasow cichutko schował rękę, która wydała mu się zbyt duża i zbyt biała, i bardzo grzecznie spytał:

— Państwo raczą na lotnisko?

Dama udała, że nie słyszy i że jest bardzo zamyślona. Jurasow dobrze znał ten wstrętny wyraz twarzy, kiedy człowiek bez powodzenia i ze złością ukrywa czujność i staje się obcym, męcząc obcym. Odwróciwszy się, spytał oficera:

— Niech pan będzie tak uprzejmy i zajrzy do gazety, jak stoją Rybińskie? Jakoś nie mogę sobie przypomnieć.

Stary wolno odłożył gazetę i surowo ściągając usta w dół spojrział na niego krótkowzrocznymi, jakby obrażonymi oczami.

— Co? Nie słyszę.

Jurasow powtórzył i gdy mówił, starannie skandując słowa, staruszek-oficer obejrzał go z dezaprobatą jak wnuka, który napsocił, lub jak żołnierza, który nie jest całkiem w porządku, i zaczął się gniewać. Skóra na czaszce między rzadkimi, siwymi włosami zaczerwieniła się, a podbródek się zatrzęsł.

— Nie wiem — burknął gniewnie. — Nie wiem. Nic tu takiego nie ma. Nie rozumiem, o co ludzie wciąż pytają.

I zabrawszy się znowu do gazety, kilka razy opuszczał ją w dół, żeby spojrzeć gniewnie na natręta. Wówczas wszyscy ludzie w całym wagonie wydali się Jurasowowi złymi i obcymi, zrobiło mu się nieswojo, że siedzi w drugiej klasie na miękkim sprężynowym siedzeniu. Z głęboką niechęcią i złością przypomniał sobie, jak stale i wszędzie wśród porządných ludzi natykał się na

tę ukrytą, a często otwartą, bezpośrednią wrogość. Ma na sobie płaszcz z prawdziwego angielskiego sukna, żółte buty i kosztowny pierścień, a ci jakby widzieli nie to, lecz coś innego, czego on sam nie może dostrzec ani w lustrze, ani w swej świadomości. W lustrze wygląda tak samo jak wszyscy, a nawet lepiej. Nie ma napisanego na czole, że jest chłopem Fiodorem Jurasowem, złodziejem trzykrotnie karanym za kradzież, a nie młodym Niemcem Heinrichem Walterem. I to nieuchwytnie, niezrozumiale, zdradliwie, co wszyscy w nim widzą, a czego tylko on nie widzi i nie zna, wzbudza w nim zwykły głuchy niepokój i strach. Chciałby uciec. Oglądając się podejrzliwie i czujnie, całkiem teraz niepodobny do uczciwego Niemea-buehałtera, wychodzi dużymi, silnymi krokami.

## II

Był to początek czerwca i wszystko przed oczami, do najdalszej nieruchomej smugi lasów, zieleniło się młodo i silnie. Wschodziła trawa, sadzonki w nagich jeszcze ogrodach, i wszystko było tak pogrążone w sobie, tak sobą zajęte, tak tkwiło w milczącym twórczym zamyśleniu, że gdyby trawa i drzewa miały twarz, wszystkie twarze byłyby zwrócone ku ziemi, wszystkie zamyślane i nieobecne; wszystkie usta byłyby skute olbrzymim bezdennym milczeniem. Jurasow blady, smutny, samotnie stojący na kołyszącej się platformie wagonu, trwożnie poczuł tę żywiołową, nieogarnioną myśl. Od pięknych, milcząco zagadkowych

pól powiało nań tą samą chłodną obcością, jak od ludzi w wagonie. Wysoko nad polami rozpościerało się niebo i także było zapatrzone w siebie. Gdzieś za plecami Jurasowa zachodziło słońce i słało po całej ziemi długie, proste promienie. Nikt nie patrzył na niego w tej pustyni, nikt nie myślał o nim i nie znał go. W mieście, gdzie Jurasow urodził się i wyrósł, domy i ulice mają oczy, którymi patrzą na ludzi — jedne wrogo i ze złością, inne łagodnie — a tu nikt na niego nie patrzy i nic o nim nie wie. Wagony także są zamyślane: ten, w którym się znajduje, biegnie, pochylony, gniewnie się kołysząc; drugi, z tyłu, biegnie ani szybciej, ani wolniej, ale jakby samodzielnie i także patrzy w ziemię i nadśluchuje. A dołem, pod wagonami grzmi różnogłosy huk i hałas: to jak pieśń, to jak muzyka, to jak czyjaś obca, niezrozumiała rozmowa — i wciąż o czymś obcym, dalekim. Są też i ludzie. Malutcy, coś robią w tej zielonej pustyni i nie czują strachu. Nawet im wesoło: oto doleciał skądś urywek pieśni i zatonał w grzmocie i muzyce kół. Są i domy — malutkie, rozrzucone swobodnie, o oknach patrzących w pole. Jeżeli nocą podejdzie się do okna, widać pole — otwarte, rozległe, ciemne pole. I dziś, i wczoraj, i co dzień. Co noc przebiegają tędy pociągi i co dzień rozwiera się ciche pole z malutkimi ludźmi i domkami. Wczoraj Jurasow o tej porze siedział w restauracji „Progress” i nie myślał o żadnym polu, a ono było takie samo jak dziś, tak samo ciche, piękne i nad czymś zamyślane. Oto przebiegł niewielki gaj: stare, duże brzozy z gniazdami gawronami na zielonych wierzchołkach. I wczoraj, kiedy Jurasow siedział w restauracji „Progress”, pił wódkę i wrzeszczał z kolegami, patrząc na akwarium, w którym pływają bezsenne ryby. tak samo w głębokim spokoju trwały te brzozy, i mrok był pod nimi i dokoła nich.

Z dziwną myślą, że tylko miasto jest czymś rzeczywistym, a to jest omam, i że jeśli zamknie się oczy, a potem je otworzy, to

żadnego pola nie będzie — Jurasow mocno zamknął powieki i ścichł. Od razu zrobiło mu się tak dobrze i niezwykle, że już nie chciał otwierać oczu. I nawet nie trzeba: znikły myśli, wątpliwości i ciągnęła głucha trwoga; ciało biernie i słodko kołysało się w rytm oddechów wagonu, a twarz delikatnie muskało ciepłe, świeże powietrze pól. Ufnie unosiło puszyste wąsy i szumiało w uszach, a na dole, pod nogami, słał się równy i melodyjny turkot kół, podobny do muzyki, do pieśni, do czyjejś rozmowy o dalekim, smutnym i miłym.

Jurasowowi zdawało się, że tuż od jego nóg, od pochylonej głowy i twarzy, nieśmiało wyczuwającej łagodną pustkę przestrzeni, zaczyna się zielononiebieska bezdeń, pełna cichych słów i nieśmiałej, ukrytej pieśnicy. Tak dziwnie — jakby gdzieś daleko padał cichy i ciepły deszcz.

Pociąg zwolnił biegu i zatrzymał się na jedną chwilę. I od razu ze wszystkich stron otoczyła Jurasowa taka nieogarniona, fantastyczna cisza, jakby to była nie chwila postoju pociągu, lecz lata, dziesiątki lat, wieczność. I wszystko było ciche: ciemny, zalany smarem, mały kamyczek przyklejony do szyny, róg czerwonego, krytego peronu, niskiego i pustego, trawa na zboczu nasypu; pachniało brzozowymi liśćmi, łąkami, świeżym nawozem — i ten zapach był także wieczną, nieogarnioną ciszą. Na sąsiedni tor, niezgrabnie chwytając się poręczy, zeskoczył jakiś pasażer i oddalił się. I taki był dziwny, niezwykle w tej ciszy, jak ptak, który zawsze lata, a teraz postanowił iść. Tu trzeba latać, lecz on szedł, i ścieżka była długa, nieznana, a kroki jego małe i krótkie. I tak śmiesznie przebierał nogami w tej nieogarnionej ciszy.

Bezszelestnie, jakby wstydząc się swej hałaśliwości, pociąg ruszył i dopiero po ujechaniu wiorsty od cichego peronu, który zginął już bez śladu w zieleni lasów i pól, swobodnie zagrzmał wszystkimi członami swego żelaznego tułowia. Jurasow, podniecony, przespacerował się po platformie — wysoki, szczupły, giętki — nieświadomie przyglądał wężom, patrząc gdzieś w górę

błyszczącymi oczami, i przytulił się do żelaznej zasuwy po tej stronie wagonu, gdzie opadało za widnokrąg czerwone, olbrzymie

słońce. Coś znalazł: zrozumiał coś, co przez całe życie mu umykało i czyniło to życie takim nieforemnym i ciężkim jak ten

pasażer, który powinien by lecieć, a nie iść.

— Tak, tak — poważnie powtarzał z zafrasowaną miną i zdecydowanie kręcił głową. — Oczywiście tak.

Koła donośnie na różne głosy potwierdzały: „Oczywiście tak, tak, tak...” I właśnie jakby tak należało: nie mówić, lecz śpiewać, Jurasow zaśpiewał zrazu cichutko,, potem coraz głośniejsze, póki jego głos nie stopił się z jazgotem i hukami żelaza. Rytmem tej pieśni był stukot kół, a melodią — cała giętka i przezroczyta fala dźwięków. Ale bez słów. Nie zdążyły się uformować; dalekie i niewyraźne, strasznie szerokie, jak pole, przelatowały gdzieś z szaloną szybkością i głos ludzki biegł za nimi swobodnie i łatwo. Wznosił się i opadał, słał się po ziemi, ślizgał po łąkach, przeszywał gąszcz leśny; lekko nawozem — i ten zapach był także wieczną, nieogarnioną ciszą. Na sąsiedni tor, niezgrabnie chwytając się poręczy, zeskoczył jakiś pasażer i oddalił się. I taki był dziwny, niezwykle w tej ciszy, jak ptak, który zawsze lata, a teraz postanowił iść. Tu trzeba latać, lecz on szedł, i ścieżka była długa, nieznana, a kroki jego małe i krótkie. I tak śmiesznie przebierał nogami w tej nieogarnionej ciszy.

Bezszelestnie, jakby wstydząc się swej hałaśliwości, pociąg ruszył i dopiero po ujechaniu wiorsty od cichego peronu, który zginął już bez śladu w zieleni lasów i pól, swobodnie zagrzmiął wszystkimi członami swego żelaznego tułowia. Jurasow, podniecony, przespacerował się po platformie — wysoki, szczupły, giętki — nieświadomie przyglądał wąsy, patrząc gdzieś w górę błyszczącymi oczami, i przytulił się do żelaznej zasuwki po tej stronie wagonu, gdzie opadało za widnokrąg czerwone, olbrzymie

słońce. Coś znalazł: zrozumiał coś, co przez całe życie mu umykało i czyniło to życie takim nieforemnym i ciężkim jak ten

pasażer, który powinien by lecieć, a nie iść.

— Tak, tak — poważnie powtarzał z zafrasowaną miną i zdecydowanie kręcił głową. — Oczywiście tak.

Koła donośnie na różne głosy potwierdzały: „Oczywiście tak, tak, tak...” I właśnie jakby tak należało: nie mówić, lecz śpiewać, Jurasow zaśpiewał zrazu cichutko,, potem coraz głośniejsze, póki jego głos nie stopił się z jazgotem i hukami żelaza. Rytmem tej pieśni był stukot kół, a melodią — cała giętka i przezroczyta fala dźwięków. Ale bez słów. Nie zdążyły się uformować; dalekie i niewyraźne, strasznie szerokie, jak pole, przelatowały gdzieś z szaloną szybkością i głos ludzki biegł za nimi swobodnie i łatwo. Wznosił się i opadał, słał się po ziemi, ślizgał po łąkach, przeszywał gąszcz leśny; lekko wznosił się do nieba, zatracając się w nieskończoności. Kiedy na wiosnę wypuszcza się ptaka na wolność, powinien lecieć tak, jak ten głos: bez celu, bez drogi, starając się wykreślić, ogarnąć, poczuć całą dźwięczną dal niebieskiego przestworza. Tak zapewne zaśpiewałyby zielone pola, gdyby obdarzono je głosem. Tak śpiewają w letnie, ciche wieczory ci maleńcy ludzie, krzątający się nad czymś w zielonej pustyni.

Jurasow śpiewał, a purpurowy odblask zachodzącego słońca płonął na jego twarzy, na płaszczu z angielskiego sukna i na żółtych półbutach. Śpiewał żegnając słońce i coraz smutniejsza stawała się jego pieśń, jakby ptak poczuł dźwięczną dal niebieskiego przestworza, wzdrygnął się od nieznanego smutku i zaczął kogoś przywoływać: „Przyjdź!” Słońce zaszło i szara pajęczyna legła na cichej ziemi i cichym niebie. Szara pajęczyna powlokła twarz — gasną na niej ostatnie odblaski zachodu i twarz martwieje.

„Przyjdź do mnie, dlaczego nie przychodzisz? Słońce zaszło i ciemnieją pola, tak samotnie i tak boleśnie samotnemu sercu, tak samotnie, tak boleśnie. Przyjdź! Słońce zaszło, ciemnieją pola. Przyjdźże, przyjdź!”

Tak płakała jego dusza. A pola wciąż ciemniały i tylko niebo nad zgasłym słońcem stało się jeszcze jaśniejsze i głębsze, jak prześliczna twarz zwrócona do ukochanego, co cichutko odchodzi.

### III

Przeszła kontrola biletów i konduktor mimochodem warknął do Jurasowa:

— Nie wolno stać na platformie, proszę przejść do wagonu!

I odszedł, gniewnie trzasnąwszy drzwiami. Jurasow tak samo gniewnie rzucił w ślad za nim:

— Bałwan!

Wydało mu się, że brutalne słowa i gniewne trzaskanie drzwiami idą stamtąd, od porządných ludzi w wagonie. I znowu poczuł się Niemcem Heinrichem Walterem; z irytacją i urazą, wysoko podnosząc ramiona, mówił do domnianego solidnego rozmówcy:

— Cóż za brutale! Zawsze wszyscy stoją na platformach, a ten powiada: „Nie wolno!” Do diabła!

Potem znów był przystanek z nagłą i władcą ciszą. Teraz przed nocą trawa i las pachniały jeszcze mocniej, a wysiadający ludzie już nie wydawali się tacy śmieszni i ciężcy:

przezroczyły zmierzch jakby ich uskrzydlił i zdawało się, że dwie kobiety w jasnych sukniach nie poszły, lecz poleciały jak łabędzie, i znowu zrobiło mu się dobrze i smutno. Zachciało się śpiewać. Ale głos był nieposłuszny, nawijały się jakieś niepotrzebne i nudne słowa i pieśń szła nieskładnie. Chciało mu się zamyślić, płakać słodko i beznadziejnie, lecz zamiast tego wciąż majaczył mu przed oczyma jakiś solidny jegomość, do którego mówił dobitnie i ważko:

— A czy pan zauważył, jak podskoczyły Sormowskie?

Ciemne, zsunięte pola znowu o czymś własnym myślały, niezrozumiałe, zimne i obce.

Nieharmonijnie, bez sensu hukwały koła i zdawało się, że wciąż się o siebie zahaczają i przeszkadzają sobie wzajemnie. Coś stuknęło między nimi, skrzypiało

zardzewiałym zgrzytem, coś skrobało: przypominał się tłum pijanych, ogłupiałych,

wałających się bez sensu ludzi. Potem ci ludzie zaczęli zbierać się w gromadę, ustawiać, a wszyscy mieli na sobie jaskrawe, kabaretowe kostiumy. Potem ruszyli naprzód i naraz ryknęli pijackim, hulaszczym chórem:

Małania ma ślipia

Wytrzeszczone...

Tak obrzydliwie żywo przypomniła się Jurasowowi ta piosenka, słyszana we wszystkich ogródkach miejskich, którą wraz z nim

śpiewali jego kompanowie, że chciało mu się odepchnąć ją rękami, jak coś żywego, jak kamień ciśnięty zza węgła. Lecz tak okrutna tkwiła władza w tych bezsensownych słowach, lepkich i bezczelnych, że cały pociąg jak długi, z setką obracających się kół, podchwycił jej motyw:

Małania ma ślipia

Wytrzeszczone...

Tysiącem, grubych warg wessało się w Jurasowa coś nieforemnego i potwornego, mętnego i lepkiego, całowało go mokrymi, nieczystymi pocałunkami, chichotało, ryczało tysiącami gardzieli, gwizdało, wyło, kłębiło się po ziemi jak wściekłe. Koła przypominały szerokie, okrągłe pyski. Zagłuszając bezwstydną śmiech, wirując w pijanym wicherze każde stuknęło oddzielnie i

wyło:

Małania ma ślipia...

I tylko pola milczały. Chłodne i spokojne, głęboko pogrążone w czystym, twórczym zamyśleniu, nie wiedziały nic o człowieku z murów dalekiego miasta. Obcą była im jego dusza strwożona, nękana wspomnieniami. Pociąg niósł Jurasowa naprzód, a bezczelna i

bezmyślna pieśń wzywała go z powrotem do miasta, wlokła brutalnie i okrutnie, jak zbiega, którego pojmano na progu więzienia. Jeszcze się opiera, wyciąga ręce w nieznaną, szczęśliwy przestwór, a już w głowie powstają, jak coś fatalnie nieuniknionego, okrutne obrazy niewoli wśród murów i żelaznych krat. To, że pola są tak zimne i obojętne i nie chcą mu pomóc, jak obcemu, napełnia Jurasowa uczuciem beznadziejnej samotności. Jurasowa ogarnia przerażenie — tak niespodziewane, olbrzymie i okropne jest to uczucie, które wytrąca go poza nawias życia jak umarłego. Gdyby usnął na tysiąc lat i obudził się wśród nowego świata i nowych ludzi, nie byłby bardziej samotny, bardziej obcy wszystkim, niż teraz. Chce wywołać z pamięci coś bliskiego, miłego, ale nie ma nic, bezczelna zaś piosenka ryczy w uciemionym mózgu i rodzi smutne i straszne wspomnienia, rzucające cień na całe jego życie. Oto znowu jest ten ogród, gdzie śpiewano Małanię. Ukradł coś w tym ogrodzie, goniono go i wszyscy byli pijani: i on, i ci, co gonili go z krzykiem i gwizdem. Schował się gdzieś w jakimś ciemnym kącie, w czarnej dziurze, i znikł im z oczu. Długo tam siedział koło jakichś starych desek, z których sterczały gwoździe, obok pękniętej beczki z wyschniętym wapnem; czuł świeżość i spokój rozkopanej ziemi, pachniało mocno młodą topolą, a niedaleko po ścieżkach spacerowali wystrojeni ludzie i grała muzyka. Minęła go szara kotka, zamyślona, obojętna na ludzki gwar i muzykę, tak niespodziewana w tym miejscu. Sympatyczna kotka — Jurasow zawołał na nią: „Kici-kici”, kotka podeszła, pomruczała, otarła się o jego kolana i pozwoliła się pocałować w miękki pyszczyk, pachnący futerkiem i śledziem. Po jego pocałunkach zaczęła kichać i odeszła, pełna godności i obojętna jak znakomita dama, a on wyszedł ze swej kryjówki i wtedy go złapano.

Ale tam przynajmniej była kotka. A tu tylko obojętne, syte pola, i Jurasow zaczyna je nienawidzić całą siłą swej samotności. Gdyby tylko mógł, zarzuciłby je kamieniami; zebrałby tysiąc ludzi i kazał podeptać delikatną, kłamiwą zieloność, która wszystkich raduje, a z jego serca wysysa ostatnie krople krwi. Po co pojechał? Siedziałyby sobie teraz w restauracji „Progress”, piłyby wino, rozmawiał i śmiał się. Zaczyna nienawidzić tej, do której jedzie, ubogą i brudną towarzyszkę swego brudnego życia. Teraz jest bogata i sama prowadzi interes z dziewczynkami. Kocha go i daje mu pieniędzy, ile tylko zechce, a on przyjeżdża, bije ją do krwi, do przeciągłego kwiku. A potem upije się, będzie płakać, dusić sam siebie za gardło i śpiewać szlochając:

Małanio...

Koła już nie śpiewają. Bełkocą żałośnie, jak chore dzieci, tulą się do siebie, szukając tkliwości i spokoju. Z wyżyn spogląda surowe, gwiazdziste niebo i ze wszystkich stron obejmuje go surowy, dziewiczy mrok pól, a samotne światełka lśnią w nim jak łyzy czystej litości na prześlicznym, zamyślonym obliczu. Daleko przed nim majaczy luna świateł stacyjnych i stamtąd, od tej jasnej plamy, wraz z ciepłym i świeżym powietrzem nocnym nadlatują miękkie, łagodne dźwięki muzyki. Koszmar znikł — i ze zwykłą lekkomyślnością człowieka, który nie ma własnego miejsca na ziemi, Jurasow od razu zapomina o nim i w podnieceniu wsłuchuje się w znajomą melodię.

— Tańczą! — mówi, błogo się uśmiecha i uszczęśliwionymi oczami rozgląda się dokoła, gładząc się rękami, jakby coś z siebie zmywał. — Tańczą! A, do diabła, tańczą!

Prostuje ramiona, niepostrzeżenie wygina się w rytm znanego tańca, napełnia go uczucie żywego, rytmicznego, pięknego ruchu. Bardzo lubi tańce, a kiedy tańczy, staje się bardzo dobry, łagodny i tkliwy, i nie jest już wtedy ani Niemcem Heinrichem Walterem, ani Fiodorem Jurasowem, którego stale zasądza za kradzieże, lecz kimś trzecim, o którym nic nie wie. I kiedy z nowym porywem wiatru rój dźwięków ulatuje w ciemne pole, Jurasow przeraża

się, że to już na zawsze, i o mało nie płacze. Ale jeszcze głośniej i radośniej, jakby nabrawszy sił w ciemnym polu, wracają

dźwięki, i Jurasow błogo się uśmiecha: — Tańczą! Tam, do licha!

#### IV

Tańczono przy samej stacji. Letnicy urządzili bal: zaprosili orkiestrę, porozwieszali dokoła placyku czerwone i niebieskie lampiony, zapędzając nocny mrok na same wierzchołki drzew. Gimnazjaliści, panienki w jasnych sukienkach, studenci, jakiś młody oficer z ostrogami, taki młodziutki, jakby tylko przebrał się za wojskowego — płynnie krążą po szerokim placyku, wzbijając piasek nogami i furkocącymi sukniami. W ułudnym półmroku lampionów wszyscy ludzie wydawali się piękni, a tańczący — jakimiś niezwykłymi istotami, wzruszającymi w swej powiewności i czystości. "Dokoła noc, a ci tańczą; wystarczy odejść z dziesięć kroków od koła, i nieogarniony, władczy mrok pochłania człowieka. A ci tańczą i muzyka gra dla nich tak czarująco, marzycielsko i rzewnie.

Pociąg stoi pięć minut. Jurasow wkręca się w tłum widzów: ciemnym, bezbarwnym pierścieniem otoczyli plac i mocno trzymają się drutu, tacy zbyteczni, bezbarwni. Jeden z nich uśmiecha się dziwnym, powściągliwym uśmiechem, inni są ponurzy i smutni — tym szczególnym, bladym smutkiem, jaki rodzi widok cudzej wesołości. Ale Jurasowowi jest wesoło: natchnionym wzrokiem znawcy ogląda tancerzy, aprobuje, leciutko przytupuje i nagle postanawia:

— Nie pojedę dalej. Tu zanocuję.

Z koła, niedbale rozpychając tłum, wychodzi dwoje: dziewczyna w białej sukni i wysoki młodzieniec, prawie tak sarno wysoki jak Jurasow. Idą, piękni, jakby niosąc ze sobą cząstkę światła, wzdłuż pólsejnych wagonów na koniec peronu, gdzie czujnie nasepił się mrok. Jurasowowi naprawdę wydaje się, że dziewczyna promienieje — tak białą ma suknię, tak czarne brwi na białej twarzy. Z pewnością siebie człowieka, który dobrze tańczy, dopędza idących i pyta:

— Proszę mi powiedzieć, gdzie tu można zdobyć bilety na tańce?

Młodzieniec jest bezwasy. Obrzuca w półobrocie Jurasowa surowym wzrokiem i odpowiada:

— To tylko dla swoich.

— Jestem podróżny, nazywam się Heinrich Walter.

— Już panu powiedziałem: tu są tylko swoi.

— Nazywam się Heinrich Walter, Heinrich Walter.

— Proszę pana! — młodzieniec groźnie zatrzymuje się, ale dziewczyna w bieli ciągnie go za sobą.

Gdyby tylko chciała spojrzeć na Heinricha Waltera! Ale nie patrzy. Biała, promieniejąca jak obłok w świetle księżycowym, długo jeszcze lśni w mroku i bezszelestnie się w nim roztopia, — To obejdzcie się! — dumnie szepce Jurasow, a w duszy jest mu tak białe i zimno, jakby spadł śnieg — biały, czysty, martwy śnieg.

Pociąg dlaczegoś jeszcze stoi i Jurasow spaceruje wzdłuż wagonów — taki piękny, surowy i poważny w swej zimnej rozpacz, że teraz nikt by go nie wziął za złodzieja trzykrotnie zasądzonego za kradzieże i odsiadującego wiele miesięcy więzienia. Jest spokojny, wszystko widzi, wszystko słyszy i rozumie, i tylko nogi ma jak gumowe — nie czuje ziemi, a w duszy coś umiera cicho, spokojnie, bez bólu i skurczów. Oto i umarło.

Muzyka znowu gra i w jej powiewne, roztańczone dźwięki wpadają urywki dziwnej, przerażającej rozmowy:

— Panie konduktorze, dlaczego pociąg nie rusza? Jurasow zwalnia kroku i nadśluchuje.

Konduktor

z tyłu za nim obojętnie odpowiada:

— Skoro stoi, to widocznie jest powód. Maszynista poszedł tańczyć.

Pasażer śmieje się, a Jurasow idzie dalej. W powrotnej drodze słyszy, jak rozmawiają dwaj konduktorzy:

— Podobno jest w tym pociągu?

— A któż go widział?

— Nikt nie widział. Żandarm mówił.

— Kłamie twój żandarm, ludzie nie są głupszy od niego...

Rozlega się dzwonek i Jurasow przez chwilę jest niezdecydowany. Ale od tamtej strony, gdzie tańczą, nadchodzi dziewczyna w bieli z kimś pod rękę. Jurasow wskakuje na platformę i przechodzi na drugą stronę. Nie widzi ani dziewczyny w bieli, ani tańczących, tylko muzyka przez moment tchnie nań z tyłu falą gorących dźwięków i wszystko ginie w mroku i milczeniu nocy. Jest sam na chybotliwej platformie wagonu, wśród niewyraźnych nocnych sylwetek. Wszystko się porusza, wszystko gdzieś odchodzi nie zważając o niego, takie obce i widmowe jak obrazy snu.

## V

Popchnąwszy drzwiami Jurasowa i nie zauważywszy go, szybko przeszedł przez platformę konduktor z latarką i znikł za następnymi drzwiami. Ani kroków, ani nawet trzaśnięcia drzwiami nie było słychać w hałasie pociągu, ale cała jego niewyraźna, rozplywająca się postać z pośpiesznymi ruchami sprawiała wrażenie nagłego, ostro urwanego krzyku. Jurasow zeszywniał, coś szybko kombinując — jak płomień wybuchła w mózgu, w sercu, w całym ciele jedna olbrzymia, straszna myśl: polują na niego! Depeszowano o nim, widziano go, rozpoznano i teraz łapią po wagonach. Ten „on”, o którym tak zagadkowo rozmawiali konduktorzy, to właśnie Jurasow; jakże strasznie rozpoznać siebie w jakimś bezosobowym „on”, o którym mówią postronni, nieznanymi ludźmi.

Teraz w dalszym ciągu mówią o „nim”, szukają go. Tak, idą od ostatniego wagonu, wyczuwają to węchem doświadczonego zwierza. Trzech lub czterech z latarkami; przyglądają się pasażerom, zaglądną do ciemnych kątów, budzą śpiących, szepczą ze sobą — i krok za krokiem, z bezlitosną nieuchronnością, z fatalną konsekwencją zbliżają się do Jurasowa, do tego, który stoi na platformie i z wyciągniętą szyją nadśluchuje. Pociąg pędzi z szaloną szybkością i koła już nie śpiewają i nie mówią: krzyczą żelaznymi głosami, szepczą tajemniczo i głucho, kwiczą w dzikim upojeniu złością — rozjuszona sfera obudzonych psów.

Jurasow zaciska zęby i, zmuszając się do spokoju, kombinuje: skoczyć przy takiej szybkości niepodobna, do najbliższej stacji jeszcze daleko, trzeba przejść na przód pociągu i tam czekać. Zanim obszukają wszystkie wagony, może się coś stać — pociąg się zatrzyma lub zwolni bieg! I wtedy zeskoczy. Do pierwszych drzwi wchodzi spokojnie, z uśmiechem, żeby nie wyglądać podejrzanie, mając w pogotowiu wyszukane, uprzejme, przekonywujące pardon! Ale w półciemnym wagonie trzeciej klasy taki tłok, taki chaos worków, kuferków, zewsząd wyciągniętych nóg, że traci nadzieję przedostania się do wyjścia i gubi się w paroksyzmie nowego, nagłego strachu. Jak przebić się przez ten mur? Ludzie śpią, ale ich chwytywne nogi zewsząd wyciągają się ku przejściu i zagradzają. Wysuwają się gdzieś z dołu, zwisają z półek, zająkują o głowę i ramiona, są przerzucone z jednej ławki na drugą — wiotkie, podatne — i strasznie wrogie w dążeniu do zajęcia dawnego miejsca, dawnej pozycji. Gną się i prostują jak sprężyny, brutalnie i martwo popychają Jurasowa, niecąc przerażenie swym bezmyślnym i groźnym oporem. Nareszcie jest przy drzwiach, ale jak żelazne sztaby zagradzają je dwie nogi w olbrzymich, sfałdowanych butach; odrzucone ze złością, uparcie i tępo wracają do drzwi,



wpierają się w nie, wyginają, jakby były bez kości. Jurasow przesuwają się przez wąziutką szczylinę. Przypuszczał, że to już platforma, ale to tylko nowy przedział z tą samą siatką natłoczonych rzeczy i jakby oderwanych członków ludzkich. Kiedy, pochylony jak byk, przedostaje się wreszcie na platformę, w oczach ma bezmyślność byka i ciemne przerażenie osaczonego zwierzęcia, które nic nie rozumie. Oddycha ciężko, nadśluchoje, w turkocie kół łowi odgłosy zbliżającej się pogoni i znowu, pochylony jak byk, przewyciężając strach, idzie ku ciemnym, milczącym drzwiom. Za drzwiami znowu bezsensowna walka, bezmyślny, groźny opór złych ludzkich nóg. W wagonie pierwszej klasy stłoczyła się w wąskim korytarzyku przy otwartym oknie grupka znających się ze sobą pasażerów, którym się nie chce spać. Stoją lub siedzą na wysuniętych ławeczkach, a jakaś młodziutka dama o kędzierzawych włosach patrzy w okno. Wiatr kołysze firankę, odrzuca w tył pukle włosów i Jurasowowi wydaje

się, że wiatr pachnie ciężkimi, sztucznymi perfumami miejskimi.

— Pardon — mówi ze smutkiem — pardon Mężczyźni wolno i niechętnie usuwają się, oglądając

nieprzyjaźnie Jurasowa; dama w oknie nie słyszy, a druga, roześmiana dama długo trąca ją w okrągłe, obciążone rękawem

plaszcz ramię. Odwraca się wreszcie i zanim ustępuje mu drogi, wolno i strasznie długo ogląda Jurasowa, jego żółte półbuty i

plaszcz z prawdziwego angielskiego sukna. W oczach ma jeszcze mrok nocy i mruży je, jakby namyślała się: czy ma przepuścić tego jegomościa, czy nie?

— Pardon! — mówi błagalnie Jurasow i dama szeleszcząc jedwabną spódnicą niechętnie usuwa się ku ścianie.

A potem znowu te okropne wagony trzeciej klasy — chyba dziesiątki, setki już ich minął, a przed nim wciąż nowe platformy, nowe nieustępliwe drzwi i chwytliwe, złe, okrutne nogi.

Oto nareszcie ostatnia platforma, a przed nią ciemna, głucha ściana wagonu bagażowego. Jurasow na chwilę zamiera, jakby w ogóle przestaje istnieć. Coś biegnie obok niego, coś grzmi; kołysze się podłoga pod uginającymi się, drżącymi nogami.

I nagle czuje: ściana, zimna, twarda ściana, o którą oparł zmęczone ciało, cicho, lecz uparcie odpycha go. Popchnie, znowu popchnie jak żywa, jak chytry i ostrożny wróg, który nie ma odwagi napaść otwarcie. Wszystko, co Jurasow widzi, splata się w jego mózgu w jednolity, dziki obraz olbrzymiej, bezlitosnej pogoni. Wydaje mu się, że cały świat, który uważał za obojętny i obcy, powstał teraz i pędzi za nim sapiąc i kwicząc ze złości: i te syte, wrogie pola, i zamyślona dama w oknie, i te przeplecione, tępe, uparte, złe nogi. Teraz są senne i drętwe, ale wnet runą za nim całą swą tupocącą masą, skacząc, pędząc, deptając wszystko, co napotkają po drodze. On jest jeden, a ich tysiące, miliony — to cały świat. Są z tyłu, przed nim, ze wszystkich stron, i nie ma przed nimi ucieczki.

Wagony pędzą, kołyszą się wściekle, zbijają, przypominając rozjuszone, żelazne potwory na króciutkich nóżkach, które chytrze się zgarbiły, przypadły do ziemi i gonią za nim. Na platformie nieprzejrzysty mrok, a to coś, co mknie przed oczyma, jest bezkształtne, mętne i niezrozumiałe. Jakieś cienie na długich, krocących na opak nogach, jakieś widmowe kształty to

przysuwające się do wagonu, to znikające nagle w bezdennym mroku. Umarły zielone pola i las, tylko ich złowieszcze cienie bezszelestnie mającą nad grzmiącym pociągiem. A o parę wagonów w tyle, może o cztery, może tylko o jeden, tak samo bezszelestnie skradają się tamci. Trzech lub czterech z latarkami. Ostrożnie oglądają pasażerów, wpatrują się, szepcą i z dziką, śmieszoną, okrutną powolnością posuwają się ku niemu. Oto już otworzyli jeszcze jedno drzwi... jeszcze jedno...

Ostatnim wysiłkiem woli Jurasów opanowuje się i wolno, oglądając się za siebie, wchodzi na dach wagonu. Stał na wąskiej

żelaznej barierce, zamykającej wejście, i przechyliwszy się do tyłu zarzucił ręce na dach. Prawie wisi nad mętną, żywą, złowieszczą pustką, owiewającą zimnym wiatrem nogi. Ręce ześlizgują się po blaszanym dachu, chwytają się ścieku, który miękko wygina się jak papierowy, nogi próżno szukają oparcia i żółte półbuty, twarde jak drewno, beznadziejnie ocierają się o gładki, tak samo twardy słup — i w ciągu sekundy Jurasow przeżywa uczucie spadania. Ale już w powietrzu, wygiąwszy się jak spadający kot, zmienia kierunek i trafia na platformę, czując jednocześnie mocny ból w kolanie, którym o coś uderzył, i słysząc trzask rozdieranego materiału. To palto zaczepiło się o coś i rozdarło. Nie myśląc o bólu ani o niczym innym, Jurasow obmacuje wydarty strzep, jakby to było najważniejsze. Smutnie kiwa głową i cmoka.

Po nieudanej próbie słabnie, chce mu się położyć na podłodze, rozpłakać się i powiedzieć: „Bierzcie mnie!” Już wybiera miejsce, gdzie ma się położyć, gdy znów przypomina sobie wagony i przeplatające się nogi i słyszy wyraźnie: ci, trzej lub czterej z latarkami, już idą. I znowu ogarnia go bezmyślny, zwierzęcy strach, rzuca nim po platformie jak piłką, z jednego końca w drugi. I znowu, współprzutomny, gotów był leżeć na dach wagonu, gdy nagle ognisty, ochrypli ryk — ni to gwizd, ni to krzyk do niczego niepodobny — wdziera mu się w uszy i gasi świadomość. To gwizdnęła mu nad głową lokomotywa witając mijany pociąg, a Jurasowowi zamajaczyło coś nieskończenie okropnego, wręcz ostatecznego w swej okropności, bezpowrotnego. Jakby świat dopędził go i ryknął wszystkimi głosami:

— Ma-a-am cię!

I kiedy z ciemności doleciał w odpowiedzi rosnący, zbliżający się ryk i na szyny równoległego toru padło kuszące światło nadjeżdżającego pociągu kurierskiego, Jurasow odrzucił żelazną barierkę i skoczył tam, gdzie całkiem blisko wiły się oświetlone szyny. Bolesnie uderzył o coś zębami, kilka razy przeokoziółkował i kiedy podniósł twarz ze zmiętymi wąsami i bezzębnymi ustami — wprost nad nim zawisły jakieś trzy latarki, trzy mętne światełka za wypukłymi szybkami. Znaczenia ich nie zrozumiał.

Wrzesień 1904 r.